

Modlitwa jest czymś prostym, tak prostym, że nawet różnice między religiami wydają się w niej zacierać. Dzieje się tak po części dlatego, że jej podmiotem staje się człowiek, który przy całej psycho-fizyczno-duchowej złożoności pozostaje jednością i każdy jego akt jest przejawem wszystkich tych wymiarów, nawet jeśli zapomni się czy pominie któryś z nich. Dobrze o tym wie filozofia Wschodu, która poprzez ćwiczenie ciała - choćby przez praktykowanie popularnych sztuk walki czy ćwiczeń gimnastycznych - wprowadza we własne rozumienia świata duchowego. Równie praktycznie pojmują to muzułmanie, gdyż niezależnie od okoliczności pięć razy dziennie klękają i biją pobożne ukłony w stronę świętego miasta, odmawiając jedną z sur Koranu, czasem tę samą przez całe życie. To jednak dopiero połowa prawdy i bynajmniej nie ta najważniejsza.

Dla Simone Weil fizyczna dolegliwość stała się okazją do modlitwy, a recytowany wiersz jej treścią, dlatego że w trakcie ich trwania „sam Chrystus zeszedł do niej i nią zawładnął”¹. Decydująca jest tu inicjatywa drugiej strony modlitewnego dialogu - Boga, bo to On sprawia, że coś przemienia się w modlitwę, czyli w spotkanie z Nim. Jego śladów można doszukać się wszędzie, także poza kręgiem nadzwyczajnych przypadków, jak ten wspomniany powyżej, choć wizyty boskiego Gościa są wtedy bardziej dyskretne i rozpoznaje się je dopiero postfactum. W jednym i drugim przypadku to owoce spotkania są najważniejszym kryterium autentyczności całego doświadczenia. Każde pomnożenie wiary, nadziei i miłości to niewątpliwy ślad wtargnięcia w naszą rzeczywistość Najwyższego. I odwrotnie, każde ich pomniejszenie czy jakiegokolwiek zło stawia pod znakiem zapytania boskie pochodzenie inspiracji, a przynajmniej to, co z nią zrobiliśmy. Na żaden relatywizm czy rozmycie kategorii dobra i zła nie ma tu miejsca.

Nie trzeba się dziwić, że okoliczności tak szczególnych wydarzeń - słowa, gesty czy nawet miejsca - przemieniają się odpowiednio w uroczyste oracje, rytuały czy sanktuaria, do których powraca się z namaszczeniem zakochanego, adorującego miejsca spotkań z ukochaną. Łatwo wtedy o naśladowców, którzy stają się uczniami, a potem mistrzami tworzącymi nowe szkoły duchowości. Równie łatwo jednak o skostnienie, formalizm i rutynę, tę odwieczną pułapkę dla ducha, który zastyga w literze prawa, rytu bądź modlitewnej metody. Pułapką może okazać się nawet opis nadprzyrodzonego doświadczenia, bo można życie spędzić na czytaniu traktatów o modlitwie i nigdy się nie pomodlić. W tym samym zaś czasie zupełny ignorant, posługując się jakimiś strzępami wiedzy religijnej, osiągnie szczyty mistycyzmu. Czy nie takiej lekcji udzieliła nam Etty Hillesum, która modlitwy uczyła się, ćwicząc klękanie... w łazience. Mechaniczny i bezwiedny gest wielu katolików dla tej dalekiej od wszelkiej duchowości czy religii Żydówki (Żydzi nie modlą się na klęcząco, a już na pewno nie w łazience!) okazał się furtką do spotkania z Bogiem i intymnym gestem miłości, do którego uciekała się w najważniejszych momentach życia. Trudno w taką prostotę uwierzyć, ale dlatego że zbyt łatwo zapominamy o doświadczeniu pierwszym, podstawowym, prostym na modlitwie: o Bogu.

Stanisław Morgalla SJ, [Trudna prostota](#)

mb